



Nieoczekiwana pomoc

Będąc w stanie półświadomości, Martin zaczął gorączkowo szukać w głowie jakiegoś zaklęcia, które mogłoby mu teraz pomóc. *Przecież muszę zabandażować ranę, zanim całkowicie się wykrwawię...*

Choć z magią miał do czynienia od niedawna, kilka miesięcy spędzonych w Znikającym Uniwersytecie musiały w końcu mu się do czegoś przydać. Gdyby tylko miał lepszą pamięć...

— *Ferula!*

Zanim zdołał podnieść głowę, aby dostrzec, kto rzucił zaklęcie, na jego ramieniu pojawił się bandaż. Krwawienie ustało.

— Zjedz to! — polecił jakiś stanowczy, męski głos i zanim Martin zdołał zaprotestować, ktoś wcisnął mu do gęby tabliczkę czekolady. — Zjedz! To ci pomoże. Straciłeś dużo krwi.

Po chwili ssania gorzkiej czekolady, Martin poczuł, że przestaje mu się kręcić w głowie. Przed oczami zaczęło mu się przejaśniać. Dopiero teraz dostrzegł stojącego nad nim wysokiego mężczyznę z siwymi włosami zaczesanymi do tyłu i upiętymi w kitek. Jego twarz była pomarszczona i pokryta piegami, a pod lewym okiem miał sporą bliznę.

— Już ci lepiej, młodzieńcze? — spytał stonowanym głosem, podając Martinowi rękę i pomagając mu wstać. Martin zachwiał się nieco, a kiedy udało mu się utrzymać na nogach, niezdarnie otrzepał płaszcz. Bezskutecznie próbował strzepać błoto.

— Dziękuję panu za pomoc — powiedział nieco zmieszany, a kiedy nieznajomy oczyścił mu płaszcz jednym machnięciem różdżki, zalał się rumieńcem i nieśmiało przedstawił: — Martin Gande.

Nieznajomy ponownie podał mu rękę, spoglądając na niego przyjaźnie.

— Sean Monaghan — przestawił się. — Nauczam obrony przed czarną magią w Hogwarcie.

— To miałem szczęście, że akurat pan tędy przechodził — odrzekł z wdzięcznością Martin. Monaghan uśmiechnął się nieznacznie i obdarzył go przenikliwym spojrzeniem.

— Właściwie, co się stało? — spytał z zainteresowaniem. — Kiedy wyszedłem z za zakrętu, ktoś akurat się aportował. Zostałeś napadnięty?

Martin poczuł, że pali mu się grunt pod nogami. *W końcu nie mógł powiedzieć, że torturował go śmierciożerca. Jak wytłumaczyłby, czego od niego chciał? Posiadanie zmieniaacza czasu jest przecież nielegalne!*

— To było zwykłe nieporozumienie — skłamał po chwili. — Ten czarodziej wypił o jedno piwo za dużo. Pomylił mnie z ja-

kimś typem z gospody, który... ee... całował się z jego laską...

Monaghan nie wyglądał na zbyt przekonanego. Martin skarcił się w duchu, że nie wymyślił lepszego wytłumaczenia.

— Skoro uczy pan w Hogwarcie, z pewnością zna pan Lisę Turpin — zmienił temat, ponownie zalewając się rumieńcem. Widząc zaskoczone spojrzenie Monaghana pospiesznie wyjaśnił: — Przyjaźnimy się od kilku lat.

— Przyjaźń z kobietą to śliska sprawa — odrzekł z rozbawieniem czarodziej. — Uważaj, żeby znowu ktoś ci mordy nie obił...

Martin zaśmiał się głupkowato i mruknął coś w stylu "no tak...".

— W każdym razie, uważaj na siebie młodzieńcze — polecił Monaghan, zarzucając sobie kaptur na głowę. — Powinieneś teraz porządnie odpocząć.

I pożegnał się kiwnięciem głowy, ruszając w kierunku gospody Pod Świńskim Łbem.

— Odpocząć... jasne... — mruknął do siebie Martin. — Jak tego wszystkiego nie odkręcę to faktycznie sobie odpocznę... w Azkabanie...

Kwadrans później Martin ponownie siedział w gospodzie pełnej czarownic i czarodziejów. Tym razem była to jednak czysta i przytulna karczma o wdzięcznej nazwie Pod Trzema Miotłami, w której panował wesóły gwar i było bardzo duszno. Właścicielka, Madame Rosmerta, lawirowała w pocie czoła między stolikami, roznosząc piwo swoim gościom. A trzeba przyznać, że tego wieczora w karczmie były tłumy.

— Co tu tak śmierdzi? — jęknął Martin, kiedy w napięciu oczekiwał przybycia Lisy i nagle poczuł niezbyt przyjemny zapach, który wywołał u niego odruchy wymiotne.

Obejrzał się z odrazą do tyłu, próbując zlokalizować źródło

smrodu. Z przerażeniem dostrzegł dwie wiedźmy z wielkimi brodawkami na nosach i długimi, brudnymi szponami u rąk, gmerające w kociołku pełnym smoczego gówna.

— Teraz wiesz, dlaczego ten stolik był wolny! — zawołała Rosmerta wzruszając ramionami, kiedy Martin poskarżył się jej na sąsiedztwo. — Jak ci nie odpowiada, to zmiataj Pod Świński Łeb! Może tam będzie przyjemniejszy zapach...

— Tutaj jest jednak całkiem przyjemnie — westchnął w odpowiedzi Martin, a wiedźmy zarechotały, pokazując mu środkowy palec, umazany w odchodach.

— Co ci się stało?! — zawołała Lisa, kiedy kwadrans później wpadła zdyszana do gospody i usiadła przy jego stoliku. — Dlaczego masz zabandażowane ramię?

— Wpadłem w *małe tarapaty*... — zaczął sucho Martin.

— Wiedziałam! Wiedziałam, że to głupi pomysł! — zawołała wściekle Lisa, zrzucając szal z szyi i rozpinając płaszcz. — Prosiłam, żebyś nie kradł tego zmieniaacza czasu! Praksesta cię tak urządziła, co?

Martin prychnął z oburzeniem.

— Nie. To nie ona — odrzekł, a Lisa obdarzyła go pobłażliwym spojrzeniem.

— Nie ściemniaj. Wiem, że to tylko gruba baba, ale widać potrafi przywalić — stwierdziła złośliwie. Martin energicznie pokręcił przecząco głową.

— Sprawa jest poważna, Liso — oznajmił chłodno. — Napadł mnie niejaki Travers.

Czarownica obdarzyła go pytającym spojrzeniem. Widać nie znała tego nazwiska

— Co tu tak śmierdzi? — spytała, marszcząc się i machając dłonią przed nosem. — Chyba powinieneś bardziej zadbać o higienę jamy ustnej, Martin — dodała z niesmakiem. Za plecami Martina rozległ się chichot wiedźm, które widocznie dosłyszały

słowa Lisy.

— To smocze gówno! — wycodził ze złością Martin, wskazując na stolik obok. Lisa obdarzyła go przepaszającym spojrzeniem i z obrzydzeniem spojrziała na dwie wiedźmy, które jej również pokazały środkowy palec.

— Czupiradła — westchnęła i jednym machnięciem różdżki wyczarowała niewidzialną barierę pomiędzy stolikami.

— Od razu lepiej — westchnął Martin, kiedy zapach ze stolika obok przestał do nich docierać. — Przydatne zakęcie. Muszę zapamiętać...

— Jest takich wiele — stwierdziła sucho Lisa. — Szkoda tylko, że żadnego nie znasz. Gdyby było inaczej, może lepiej poszłoby ci z Praksedą.

Martin westchnął ciężko.

— Ten debil, Mieczysław Chrapkobąk nauczył mnie tylko sprzątać przy użyciu różdżki — odrzekł ze złością. — i rzucać zakęcie modyfikujące pamięć. W tym był mistrzem, bo ten jego Znikający Uniwersytet ciągle pojawiał się mugolom i musiał nieustannie modyfikować im pamięć.

Lisa obdarzyła go zaskoczonym spojrzeniem. Nie bardzo wiedziała, o czym mówi jej przyjaciel.

— Wspominałeś coś o jakimś Traversie — przypomniała mu po chwili namysłu.

— Podobno jest śmierciożercą — wyjaśnił pospiesznie Martin, a jego przyjaciółka nabrała głośno powietrza do płuc. — Skoro ukradł mi zmieniacz czasu, to znaczy że planuje zmalować coś w przeszłości... Zmienić bieg wydarzeń.

— Myślisz, że chce zapobiec zglądzeniu Voldemorta? — jęknęła z przerażeniem Lisa, zasłaniając sobie usta dłońmi. Martin pobladł na twarzy. Serce zaczęło mu łomotać na dźwięk imienia Czarnego Pana.

— Musimy porozmawiać z kimś, kto zna Traversa — odrzekł

z przekonaniem. — Z kimś, kto należy do Zakonu Feniksa.

— Tak się składa, że znam kogoś takiego — uśmiechnęła się Lisa, a Martin obdarzył ją zaskoczonym spojrzeniem.